

POLSKIE TOWARZYSTWO ORIENTALISTYCZNE

PRZEGLĄD ORIENTALISTYCZNY

Kwartalnik



Nr 1(37)

WARSZAWA

1961

PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE

SPIS TREŚCI

ARTYKUŁY

- Tadeusz Lewicki, *Z dziejów handlu transsaharyjskiego. Kupcy i misjonarze ibādycy w zachodnim i środkowym Sudanie w VIII—XII w* 3
Edward Szymański, *Federacja Mali* 19

*

- Nina Pilszczikowa, *O klasyfikacji języków Afryki* 31

UTWORY LITERACKIE

- O Jeredzie Muzyku* (z gyyz przełożyła Joanna Mantel-Niećko) 41
Bajki amharskie (z amharskiego przełożyła Joanna Mantel-Niećko) 43
Jusuf Idrīs, *Ludzie* (z arabskiego przełożył Edward Szymański) 49

ZAGADNIENIA TRANSKRYPCYJNE

- Eugeniusz Słuszkiewicz, *Jeszcze raz o transkrypcji wyrazów sanskryckich* 53

MATERIAŁY I NOTATKI

- Jan Reychman, *Po XVI Zjeździe Orientalistów polskich* 61
Jan Reychman, *Polskie badania Czarnego Lądu* 62
Stefan Strelcyn, *Obrady Sekcji Afrykanistycznej XXV Międzynarodowego Kongresu Orientalistów (Moskwa 9—16. VIII. 1960 r.)* 64
St. S., *Komisja dla Spraw Badań nad Współczesnym Wschodem i jego Historią* 66

RECENZJE

- Jan Reychman, *Z dziejów studiów orientalistycznych i orientalizmu* 70

*

Z KSIĄŻEK

- Atti del Convegno Internazionale di Studi Etiopici* (Stefan Strelcyn) 81
Georges Posener, *Serge Sauneron et Jean Joyotte, Dictionnaire de la civilisation égyptienne* (Stefan Strelcyn) 87
Aldobrandino Malvezzi, *L'islamismo et la culture europea* (Franciszek Machalski) 88
J. P. Roux, *L'islam en Occident. Europe-Afrique* (Jan Reychman) 90
Max Freiherr von Oppenheim, *Die Beduinen* (Jerzy Gutkowski) 90
Wojciech Żukrowski, *Wędrowki z moim guru* (Bohdan Gębarski) 93
Bozorg Alawi, *Kraj róż i słowików* (Maria Składanek) 98

Z CZASOPISM

NOTATKI BIBLIOGRAFICZNE

100
102



O JAREDZIE MUZYKU*

W dniu 12 *ganbot*¹ zmarł Jared — pieśniarz podobny serafinom. Jared ten był z rodu *abba* Gedeona, rodu kapłanów katedry w Aksum — pierwszego wybudowanego w krainie Etiopii kościoła chrześcijańskiego, w którym głoszono wiarę Chrystusa i który poświęcony został w imię Pani naszej, Marii. Ów zaś *abba* Gedeon — gdy zaczął uczyć błogosławionego Jareda psalmów Dawidowych nie mógł go długo niczego nauczyć. Wówczas zbił i wpędził Jareda w chorobę, a on uciekł na pustynię, spoczął w cieniu drzewa. I ujrzał robaka wspinającego się na drzewo, który ilekroć dochodził do połowy pnia obsuwał się na ziemię. Wiele razy tak czynił ów robak zanim z trudem wspiał się na drzewo. A gdy zobaczył Jared jego cierpliwość ukorzył się w duszy swojej i zawrócił do mistrza prosząc:

— Wybacz mi, ojcze, jak zechcesz uczyń ze mną!

I przyjął go nauczyciel jego duchowy.

A gdy modlił się do Boga we łzach, otworzył się umysł Jareda i przez jeden dzień nauczył się pisma *Starego* i *Nowego Testamentu*. Potem zaś nadano mu godność diakona.

W owych czasach nie umiano śpiewać pieśni kościelnych pełnym głosem, tylko nucono je po cichu. Bóg zaś zechciał, aby przetrwało wspomnienie o Ja-

* W ludowej literaturze abisyńskiej trzeba przede wszystkim rozróżnić twórczość powstałą w języku abisyńskim klasycznym — gyyz i w abisyńskim współczesnym — amharskim.

W piśmiennictwie gyyz — reprezentującym ogólnie rzecz biorąc przekładową i rodzimą literaturę religijną oraz rodzimą twórczość kronikarską — nie znalazła sobie zasadniczo miejsca twórczość ludowa. To, co zasługuje na uwagę w literaturze gyyz z punktu widzenia rodzimej twórczości — to żywoty abisyńskich świętych. Do nich należy między innymi legenda o świętym Jaredzie, patronie abisyńskiej muzyki i — myśl taka nasunie się nieodparcie czytelnikowi — o pierwszym kompozytorze.

Rdzennie ludowe bajki weszły dopiero do współczesnej, młodej literatury amharskiej. Kilka z nich znalazło swoje miejsce w niniejszym przekładzie.

Przekład legendy o Jaredzie został dokonany na podstawie tekstu, opublikowanego przez A. D i l l m a n n a w *Chrestomathia Aethiopica*, Berlin 1950, s. 34–36. Wybór bajek amharskich pochodzi ze zbioru bajek M. M o r e n o, *Cent fables amhariques*, Paryż 1948. Numeracja bajek według Moreno podana jest przy każdej bajce.

¹ *ganbot* — według kalendarza gregoriańskiego miesiąc maj.

redzie i wysłał do niego trzy ptaki z ogrodów Edenu. A one rozmawiały z nim językiem ludzi i uniosły go ze sobą do niebiańskiej Jerozolimy, gdzie nauczył się pieśni dwudziestu czterech kapłanów niebios. A gdy powrócił do swojej natury (ludzkiej) wszedł do kościoła — świętej katedry w Aksum — o godzinie trzeciej i wielkim głosem wołał, śpiewając: „Alleluja Ojcu, Synowi Alleluja, Alleluja Duchowi Świętemu!”. Pierwszą (pieśń) wzniosł dla Syjon niebieskiej, następną — o wizji Mojżesza, według której Mojżesz zbudował był namiot. A nazwał to *māhlēta 'aryām* — pieśń niebios. A gdy usłyszeli dźwięk jego głosu, przybiegli: król, królowa z biskupem, kapłanami i wielmożami dworskimi i dzień spędzili słuchając Jareda. I ułożył on pieśni na każdą okazję w roku — na wiosnę i zimę, lato i jesień, na święta i soboty aniołów oraz na dni proroków, męczenników i sprawiedliwych. — Pieśni te były w trzech modulacjach: *gə'əz 'əzəl* oraz *'arārāy* i ani mowa ludzka, ani głos ptaków ni zwierząt nie były doskonalsze ponad te trzy jego modulacje.

Pewnego dnia, gdy Jared śpiewał stojąc wobec króla Gabra Masqal król oto, zasłuchany w głos Jareda wbił mu swą żalazną buławę w stopę. A płynąca z niej obficie krew nie zwróciła uwagi Jareda dopóki nie skończył śpiewać. Król zaś, gdy się spostrzegł, przeraził się, wyrwał buławę i zawołał:

— Żądaj ode mnie jakiej chcesz nagrody za krew twoją, która przeze mnie została wylana!

— Przysięgnij, że nie odmówisz mi — odparł Jared, a gdy król mu przysięgnął poprosił:

— Odpraw mnie, abym mógł zostać mnichem.

Gdy król to usłyszał, zasmucił się bardzo wraz ze wszystkimi swoimi książętami, lecz by odmówić — bał się przysięgi. A Jared poszedłszy do kościoła, stanął przed arką Syjon a gdy mówił: „święta i błogosławiona, święta i chwalona, sławna i wywyższana — i tak dalej, aż do samego końca² — uniół się był nad ziemię na wysokość łokcia.

I poszedł na pustynię Samēn i żył tam w poście i modlitwie, w wielkim umartwieniu ciała aż żywot swój zakończył.

A Bóg dał mu przymierze dlatego, że głosił imię jego i zostawił wspomnienie o nim.

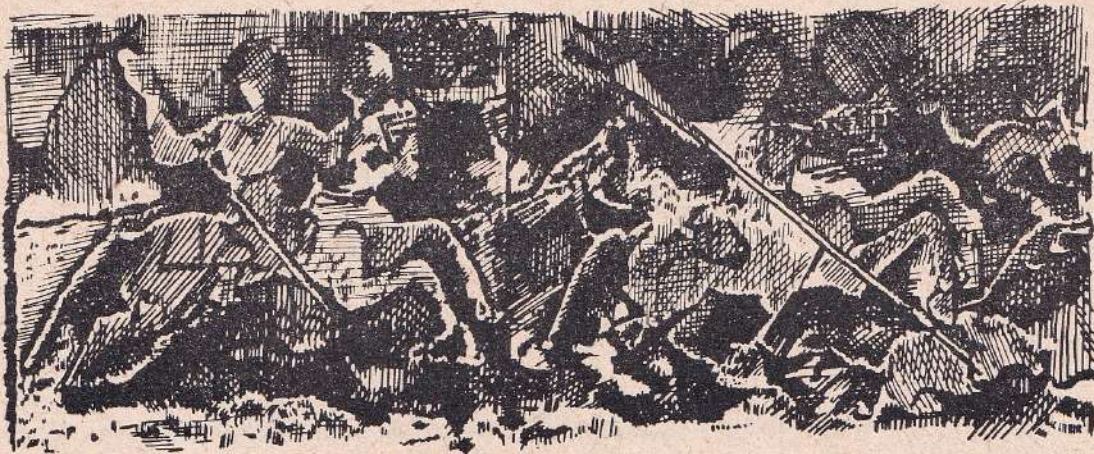
I umarł Jared w pokoju, a grób jego nieznanym jest do dziś.

Chwała Jaredowi — oglądającemu świetność anielską
za wytrwałość w postach, za myśl uduchowioną
czyż w nauce Pisma; chwała, że powrócił,
gdy ujrzał był, jak robak wspina się na drzewo³.

Z gyyz przełożyła
Joanna Mantel-Niećko

² *'aska tafəšāmetu* — dosł. „aż do końca”. Zwrot częsty w tekstach gyyz przy cytatach z *Biblii*. Oznacza on, że bohater danego opowiadania wygłosił cały werszet, zaś autor — licząc snadź na celującą znajomość *Biblii* u czytelnika, przytacza tylko początkowy fragment zaznaczając, że chodzi o całość.

³ Żywoty świętych kończą się krótkimi wierszami na cześć danego świętego. Zaczynają się one zawsze od słów *salām la...* „chwała dla...” i stanowią coś w rodzaju poetyckiego *resumé* — epilogu.



BAJKI AMHARSKIE

Król zebrawszy swoich żołnierzy wyruszył na bój, ponieważ podnieśli się buntownicy w kraju, którym rządził. I stoczył bitwę. Po każdej (stronie) były straty. Żony usłyszawszy nowinę, że wśród żołnierzy są straty, poszły na pole walki, chcąc napić swych mężów, gdyby byli ranni, pogrzebać — jeśli są zabici.

Jedna z tych kobiet znalazła męża rannego.

— Ach, ach — wołała i ucieszona bardzo pytała niezliczoną ilość razy:

— Powiedz że, co (zrobić)?

— Jeżeli jesteś w stanie, weź mnie na plecy i wynieś z pola walki — odparł.

— Dobrze, powiedziała, wzięła go na plecy i poniosła spory kawał drogi.

Gdy, niosąc go na barana wspinała się pod górę, jęczał, gdyż dotykała go tam, gdzie był ranny. Usłyszawszy, jak wzdycha, spytała:

— Co się stało?

— Jestem wykastrowany¹.

— Co?! — wrzasnęła usłyszawszy to — dźwigam owałaszonego? Cisnęła go na ziemię i nie odwracając się aby spojrzeć na niego — odeszła. Była niepokieszona, że na własnych plecach dźwigała go od miejsca, gdzie został wytrzebiony aż do miejsca, gdzie się go pozbyła.

(Moreno, XLVI)

*

Żył w pewnym kraju człowiek żonaty, którego żona zdradzała. A gdy mąż jej wybrał się do innego miasta pod jego nieobecność zaprosiła kochanka i przebywała z nim. Ale mąż pomyślawszy sobie: „przychwyć go” — wrócił. Miał ze sobą sędziego i świadków, a ci mówią do niego:

— Wchodź i bierz go!

— Wy go bierzcie, a ja będę się procesował — odparł, bo stchórzył.

(Moreno, XLV)

¹ Jednym z wojennych obyczajów abisyńskich jest obcinanie zwyciężonemu przeciwnikowi skrotów.



Był człowiek w pewnym mieście. Nie umiejąc gospodarować zarobionymi pieniędzmi, żył w kłopotach. Raz spotkał pewnego filozofa i powiada:

— Bracie, udziel mi rady. Zarabiam pieniądze — nie trzymają się mnie. Poradź mi w tej sprawie.

— Ożeń się — poradził mu filozof.

— Ty mi mówisz, że zarobię na suknie, jedzenie dla żony, gdy mnie samemu brakuje na ubranie i chleb! To zła rada i nie robi na mnie wrażenia słusznej.

Filozof zaś, który miał bardzo dużo ziarna dojrzałego do zbioru powiedział:

— Zrywaj owies prawą ręką, ty biedaku, a nie pomagaj sobie lewą i naznoś tyle ziarna, ile tylko zdołasz.

Biedak wyszedł na pole i zaczął zbierać. Filozof, odczekawszy godzinę, zawołał go do siebie. Biedak przyszedł, niosąc bardzo mało kłosów.

— Cóż to, przychodzisz zebrawszy tak mało dotąd?

— Gdy zrywałem ostatnie ziarna, upadały mi te, które zerwałem najpierw, ponieważ robiłem to tylko prawą ręką — odparł biedak.

Następnym razem filozof powiedział mu tak:

— Naznoś ziarna, zrywając prawą ręką i zbierając lewą.

I wyszedł biedak na pole bogacza i zrywając prawą a zbierając lewą ręką przyniósł po godzinie sporo ziarna. Wtedy filozof powiedział:

— Spójrz na to i przemyśl! Prawa ręką i mąż — to to samo, lewa ręką i żona — to też to samo. To jest zbieranie! Bo gdy zbierasz lewą ręką — to żona twoja zbiera. Gromadzi pieniądze twoje. Zrywając tylko prawą nie zgromadzisz ziarna. Bezsilny jest człowiek bez żony — a ty jesteś sam.

Zgodził się biedak ze słowami mędrca i zanim rok upłynął stał się bardzo bogaty.

(Moreno, VIII)

*

Rządził potężny król. W bezmiarze swojej potęgi zamyślał o zrobieniu czegoś, czego nie zrobił jeszcze żaden z panujących.

Posiadał ów król capa, pięknego i bardzo tłustego. Przywiązał mu do szyi róg z przyprawami, nóż w pochwie i puścił go bez pasterza mówiąc:

— Zobaczę, kto odważy się na zuchwalstwo wobec mnie!

Żołnierze, którzy byli w mieście obawiając się, że zostaną posądzeni o zje-

dzenie capa, dbali o jego bezpieczeństwo i nie zbliżali się doń, jak do dzikiej bestii. Lękali się capa, jakby był lwem czy tygrysem. A każdego, kto się zbliżył wydawali królowi.

Tak żył sobie cap przez wiele dni, z przyprawami i nożem u szyi, nie budząc lęku zwierząt, nie zarzynany przez ludzi. A widząc to król pysznił się tymi słowy:

— Nie rządził przede mną, ani nie będzie rządził po mnie władca taki, jak ja! Nie ma nikogo, kto wzbudza taki strach i nikt nie był tak szanowany.

Ale król mówiąc to sądził, że nie znajdzie się śmiałek, który by się odważył na taki czyn. A nie było nikogo wśród ludu ktoby się dopytywał, czym jest ten cap — wszyscy go znali.

Jednak trzech *dabtarā*² królewskich przemyśliwało zuchwalstwo.

Pewnego dnia zarżnęli królewskiego capa nożem, zawieszonym u szyi. Zawlekli go do pustego domu i rozkoszując się jego smakiem zjedli kozła wraz z przyprawami. Po czym, w głupim zuchwalstwie sporządzili ze skóry pergamin i napisali te słowa:

„O królu, ten cap smakował nam ogromnie. Zarżnęliśmy go nożem, który miał u szyi, i zjedliśmy z przyprawami, zawieszonymi na niej.

Pytasz królu, kim jesteśmy? Nie dowiesz się!”

Podrzucili to po ciemku do pałacu i powrócili do swoich domów.

Gdy król to przeczytał, rozłościł się srodze, że ktoś zjadł jego capa i jeszcze się z nim drażni pokazując figę. Osądził po chwili, że mogli to zrobić tylko *dabtarā*, nikt inny bowiem nie byłby taki bezczelny. Dobrał więc upojne trunki i urządził wielkie przyjęcie, zapraszając wszystkich *dabtarā*, ale to bez wyjątku wszystkich. Przy każdym z nich ustawił swojego człowieka, który miał wyspiegować zuchwalców. I jeden z owych trzech *dabtarā*, zbyt dla siebie wypiwszy, powiedział, że wraz z towarzyszami zjadł królewskiego capa. Szpieg ucieszony doniósł o swoim odkryciu królowi.

Poczekano do wieczora. Podczas gdy inni jedli i pili, król rozkazał na znak uciąć śmiałkowi ucho i jego kompanom. Myśląc wybadać o świcie, rozkazał aby noc spędzili strzeżeni. Tymczasem *dabtarā* któremu ucięto ucho, dotknąwszy się spostrzegł jego brak.

— Musiałem komuś powiedzieć — pomyślał sobie — i aby zniszczyć znak, poobcinał uszy wszystkim. Po czym noc spędził spokojnie.

Rankiem król rozkazał, aby mu szybko przyprowadzono winnych. Gdy zaś przyprowadzono wszystkich, ujrzał wszystkich bezuchych. Zniszczono królewski znak. *Dabtarā*, który wygadał się, uszedł królewskiego gniewu, dzięki swemu sprytowi i przezorności.

A król zdumiony i ubawiony, mówiąc: „Iluż mam ukarać?” — wypuścił ich wszystkich.

(Moreno, I)

² *dabtarā* — pełnią w Kościele funkcję śpiewaków i lektorów *Pisma Św.* Przede wszystkim określa się tym mianem ludzi umiejących czytać i pisać. *Dabtarā* są w pewnym sensie odpowiednikiem naszego „kleryka”. Ich spryt i kawalarstwo to częsty motyw bajek i jest równie przysłowiowy jak europejskich średniowiecznych żaków.

*

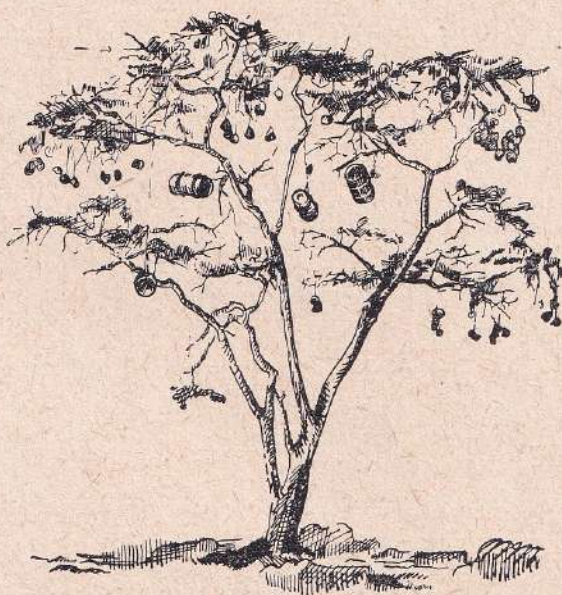
Pierwszy upijał się piwem, drugi — miodem a trzeci — ziarnem³. Cała trójka zrobiła zakład:

— Będziemy skakać do przepaści. Kto zatrzyma się — jest tchórzem.

I biegiem ruszyli ku przepaści. Pierwszy — który upijał się piwem — zatrzymał się o dwa kroki (od przepaści) i stanął. Drugi — ten od miodu — zatrzymał się tuż nad przepaścią. Ale ten trzeci — ten od ziarna — biegnąc na oślep wpadł do przepaści.

Człowiek, objadający się ziarnem traci rozum — jak muł.

(Moreno, LXXI)



Było siedmiu braci. Jeden z nich, karzeł, był bardzo pomysłowym szelmą. Sześciu braci zarżnęło jego wołu i zjadło, a on im powiada:

— Ależ mnie to w ogóle nie dotknęło! Skoroście mi zarżnęli wołu, dajcie mi skórę po nim, to ją sprzedam.

I poszedł.

Poszukał mysiej dziury, otoczył ją szczelnie skórą wołu (niby workiem). A gdy myszy zebrały się w owym worku, zawiązał otwór, zarzucił sobie na plecy i odszedł. Nadszedł wieczór, a on z workiem wdrapał się na sykomorę.

W jakiś czas potem nadeszła bogato objuczona karawana i rozbiła obóz u stóp sykomory. O północy zrzucił na nich swój worek. Muły rozpierzchły się spłoszone, ludzie rzucili się do ucieczki, przerażeni nieoczekiwanym deszczem. On zaś zszedł sobie z drzewa, zebrał tyle bogactwa, ile dał rady i powrócił do domu. Braciom zaś swoim powiedział:

— Wyście mi zarżnęli wołu, a ja sprzedałem jego skórę za to co tu przyniosłem. Zarżnijcie swoje woły — zrobicie taki sam interes.

³ Dosłownie „pijak ziarna”. Nie chodzi tu o wódkę ze zboża. Bajka ta ilustruje stosunek Abisyńczyka do ludzi nadmiernie sytych. Człowiek, który zbyt dużo je, popada w upojenie moralne, gorsze od upicia się. Z przesyty traci rozsądek.

Uwierzyli mu. Pozarzynali swoje woły i poszli sprzedawać ich skóry. A gdy nawoływali do kupna, ludzie osądzili, że to głupcy, zawrócili więc gniewni. Rozjątrzyło to braci, że zakpił sobie z nich.

Tym razem spalili mu dom. Ale on i tym się nie przejął. Objuczył osły popiołem i poszedł. Wziął (także) ze sobą trochę mąki z prosa i trochę prosa ziarnem. Szedł, szedł, aż doszedł do domu pewnego bogacza. Powiedział mu, że wiezie mąkę królowi, więc ten wpuścił go do swego domu.

O północy wysypał na ziemię popiół i zaczął krzyczeć i lamentować aż wszyscy się zbiegli:

— Ukradziono mi mąkę królewską a zostawiono proso i taką oto mąkę (to wskazał na popiół).

Bogacz dał mu dużo mąki tak, aby osły mogły je unieść i prosił, aby nie zdradził go przed królem.

Karzeł, obładowany, wrócił do swojego kraju i oznajmił braciom.

— I cóż straciłem, że spaliliście mój dom? Wzamian za popiół przywiozłem sobie pożywienie. Spalcie swoje domy! — Wymienicie popiół na pożywną mąkę.

Uwierzyli mu. Spalili swoje domy, załadowali popiół na osły i wyruszyli. A brat poradził im jeszcze, aby mówili, że są krewnymi karła — gdyby ktoś zapytał ich kim są. Zaczęli handlować popiołem. Ludzie zaś, widząc czym chcą handlować, zastanawiali się skąd biorą się tacy głupcy.

Pewnego razu przybyli do bogacza, którego ich brat okradł z mąki. Ten spytał, kim są. Odparli, że są krewnymi karła. „To bracia tego łotra!” — wrzasnął i przepędził ich kijami.

A więc po raz drugi zrobił z nas durniów — domyślili się bracia i postanowili zabić go po powrocie.

Zmajstrowali kosz, wsadzili karła do środka⁴ i zanieśli nad przepaść. Porzucili go na skraju przepaści i poszli wystrugać widły, aby zepchnąć brata w przepaść. W tym momencie nadjechał ktoś na mule i podszedł do kosza, sądząc, że znajdzie miód.

— Kim że ty jesteś? — krzyknął.

— Jestem mnichem, zdobywającym doskonałość — odparł.

— Chciałbym wejść do tego ula — rzekł posiadacz muła — a ty mógłbyś wyjść i wziąć mojego muła.

I wszedł do ula, a gdy bracia wystrugali już widły, zepchnęli go do przepaści, myśląc, że to karzeł.

Ten zaś, wyszedłszy z ula, wsiadł na muła i przyjechał do swego kraju.

— Gdy wyrzuciliście mnie w przepaść — powiedział swoim braciom — znalazłem muła. Jeśli wskoczycie do przepaści, będziecie mieli muła, tak jak ja.

Uwierzyli mu.

— Rzucimy się — zawołali.

⁴ *qafu* — cylindryczny kosz lub wydrażony pień drzewa, który służy jako ul. Ule takie wieszają się w Abisynii na konarach drzew.

A on przygotował ule i zepchnął braci w przepaść.
Odziedziczył po nich majątek i żył długo. Mądrość ocaliła go od zła i od śmierci.

(*Moreno, XLI*)

*

Było dwóch ludzi, których specjalnością było kłamstwo. Zgodni, jak knot ze świecą, żyli nie mówiąc nigdy prawdy.

Jeden z nich powiada do drugiego:

— Spójrz bracie, tam młóca wołami zboże.

Tamten nie oglądając się uwierzył od razu w młockę i:

— Oko mnie boli — powiada.

— Co ci się stało?

— Powiedziałeś, że młóca wołami, obejrzałem się i pełno plew wpadło mi do oka.

Umilkli obaj. Kłamstwo było ich specjalnością.

Dopełniali się nawzajem.

(*Moreno, LXXXVII*)

Z amharskiego przełożyła
Joanna Mantel-Niečko

JŪSUF IDRĪS

LUDZIE

Rosło w naszej wiosce drzewo tamaryszku. Nie było ono ani wielkie ani rozrośnięte ani też nie miało gęstych gałęzi. Było niewysokie... karłowate. Jego liście — jak liście tamaryszku: drobne i cylindryczne, nie znajdujące ni wiosny ni jesieni, wiecznie zielone. Tamaryszek od lat i nie rósł i nie malał.

Nikt nie wiedział, skąd wzięło się takie drzewo w naszej wiosce, tamaryszek bowiem rzadko rośnie na ilastej glebie, lubi natomiast miejsca podmokłe i błotniste.

Było rzeczą znaną, że mieszkańcy naszej wioski od dawna otaczają tamaryszek czcią i wierzą, że tkwi w nim jakaś tajemnica.

Od dawna ludziska nie tylko oddawali tamaryszkowi hołd, lecz nawet robili zeń lekarstwo na choroby oczu. Ktokolwiek zapadał na chorobę oczu, leczył ją jedynie liśćmi tamaryszku. Recepta brzmiała: „Pójdiesz o wschodzie słońca pod drzewo i czekaj aż zniknie rosa. Później zerwij kilka gałązek z liśćmi, połam je i rozetrzyj, a wtedy popłynie z nich woda lepka, którą zakropisz chore oko powoli, po dwie krople naraz, lecz nigdy więcej i za pozwoleniem Jednego Jedynego przyjdzie uzdrowienie”.

I najdziwniejsze w tym to to, że uzdrowienie przychodziło istotnie. Prawdą jest także, że najczęściej choroba stawała się nieuleczalna. Czasami ból tylko się powiększał, a czasami pacjent ślepl na jedno oko, albo na oba. Nie zrażało to jednak ludzi do liści tamaryszku. Mawiali: „to chory był niegodny uzdrowienia”, albo „czasami tak się może zdarzyć”, albo „choroba była zadawniona i nieuleczalna” lub że może pacjent się pomylił i nie zczekał aż zniknie rosa.

I tak powoli, powoli tamaryszek stał się nieodłącznym składnikiem krajobrazu, tajemniczą siłą związaną nierozzerwalnie z naszą wioską. Ludzie stworzyli wokół niego atmosferę tajemniczości, religijnej czci i lęku. Wydawało się, że drzewo jest demonem, zagrządzającym drogę do kanału, budzącym strach swoim smutnym wyglądem: karłowate, o krótkich, drobnych, ostrych, siwych jak włosy staruszki liściach.

A jednak znalazł się ktoś, kto nie uląkł się tamaryszku, ale wypowiedział mu wojnę. Był to lekarz rejonowy, który zaczął otwierać w powiatowych miasteczkach szpitale i poradnie lekarskie. Jednakże nie umniejszyły one roli tamaryszku, a przeciwnie, ludzie trwali w uporczywej wierze w jego moc. A co dziwniejsze, że wiara w drzewo była powszechna i absolutna i doszło

do tego stanu, że przechodzący obok niego ludzie odmawiali modlitwę. Wierzyli w nie wszyscy: dorośli i dzieci, biedacy i bogaci. Mało tego, przeklęty tamaryszek stawał się sławny w sąsiednich osiedlach. Widziano bowiem coraz częściej ludzi z odległych wsi, siedzących o świcie pod drzewem i czekających w skupieniu i z lękiem na opadnięcie rosy.

Płynęły lata. Ja i moi rówieśnicy rozpoczęliśmy naukę w szkole. Poznaliśmy historię, geografię, inżynierię, medycynę i fizykę. Przestaliśmy wierzyć w siły nadprzyrodzone tamaryszku. Najbardziej zaciętym wrogiem kultu drzewa stał się ibn Sarāf, student Wydziału Rolniczego. Nie wystarczała mu jego własna niewiara. Nie mógł on ścierpieć głupoty ludzi, ich ciasnego i skostniałego sposobu myślenia, które zakrzepło w bezkrytycznej wierze w drzewo, nie mogąc zdobyć się na jakikolwiek protest.

Pod wpływem ibn Sarāfa zaczęliśmy wszyscy jawnie manifestować niewiarę w tamaryszek. Szybko te słowa zamieniliśmy w czyn, nadszedł bowiem dzień, w którym zorganizowaliśmy się do otwartej walki z zabobonem. Podzieliliśmy między siebie zadania. Ustalono, że część będzie uświadamiała ludzi w meczetach i powie im: „O ludzie, tamaryszek oślepia każdego, kto ma oczy”.

Drudzy będą chodzić po podwórkach i mówić: „O bracia, rząd utworzył szpitale. Leczcie się w nich, a zostawcie tamaryszek w spokoju”.

Inni znów staną koło drzewa i będą tłumaczyć przechodzącym, że ono ich nie uleczy.

Zaczęliśmy działać. Ludziska patrzyli na nas zdziwieni, a myśmy gadali i gadali. Z naszych ust płynęły potoki słów, a ludzie tylko kiwali głowami, potakiwali i mówili do siebie: „Sprawiedliwie mówią. Święte słowa”.

Po pewnym czasie doszliśmy do wniosku, że zagadnienie tamaryszku już nie istnieje, a uratowane oczy ludzi składają nam serdeczne podziękowania. Sądziliśmy, że za poniesione trudy zasługujemy na powszechny szacunek i pomnik wdzięczności.

Jednakże po kilku dniach spostrzegliśmy, że ludzie nadal używają liści tamaryszku do leczenia oczu i przesiadują o świcie przy drzewie, czekając opadnięcia rosy. Podjęliśmy walkę od nowa.

Płynęły dni na dysputach i rozmowach, wyjaśnieniach i tłumaczeniach, podbudowanych różnymi przypowieściami i przysłowiami.

Ludziska kiwali głowami, potakiwali i zgadzali się z naszymi argumentami, a nawet przesadzali w krytykowaniu samych siebie, najczęściej mówiąc: „Wybaczcie panowie, jesteśmy ciemni. Człowiek ciemny jest ślepy. Potępiac można mądrość a nie głupotę”.

Byliśmy niestrudzeni w zagorzałej agitacji, aż na twarzach ludzkich pojawiło się przekonanie. A jednak, gdy tylko ktoś zachorował, leczył się znowu liśćmi tamaryszku.

Upłynęło wiele lat w zmaganiach z zabobonem. Nic dziwnego, że straciliśmy wreszcie nadzieję i zwątpiliśmy w osiągnięcie pozytywnych rezultatów. W końcu zrezygnowaliśmy z naszej działalności, dochodząc do wniosku, że nie ma takiej siły, która mogłaby zwalczyć tamaryszek.

Lecz nasz Sarāf, chudy, nerwowy i uparty, chociaż był tak zniechęcony jak i my, nie mógł pogodzić się z klęską. Ciągłe trapiła go sprawa tamaryszku i nie opuszczała myśl o nim.

Pewnego dnia wpadł na taki pomysł: narwał liści tamaryszku, udał się do swego profesora i opowiedział mu całą historię, prosząc o zrobienie analizy liści. Analiza wykazała, że w liściach znajdują się związki siarczanu miedzi, z których sporządza się krople. Zaczęliśmy więc rozpowszechniać wiadomość w okolicznych wioskach o tym cennym odkryciu. Teraz mówiliśmy ludziom, że używanie tamaryszku jako lekarstwa nie jest wcale szkodliwe. W liściach faktycznie znajduje się lekarstwo — udowadnialiśmy.

Ludzie, jak ludzie, potrzęsali głowami bez entuzjazmu i pomrukiwali: hmm, hmm.

Upłynęło wiele lat. W naszej wsi zaszło wiele zmian. Zamieszkali w niej urzędnicy i rozmaici specjaliści. Kiedy po latach wróciliśmy do rodzinnej wioski stwierdziliśmy, że tamaryszek nie cieszy się dawną czcią. Wynędzniałe, pożółkłe drzewo nie budziło lęku, a co najważniejsze nie widać było pod nim o wschodzie słońca czekających ludzi. Wszyscy wyrzekli się liści tamaryszku jako lekarstwa na oczy. Kiedy zapytaliśmy o przyczynę, byliśmy bardzo zdziwieni odpowiedzią. Podobnie jak przed laty kiwali głowami, lecz powiadali każdemu z nas: „Daj spokój, stary. Lekarstwo z apteki czyściejsze”.

Z arabskiego przełożył
Edward Szymański

